ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 182.

№ 20. Warszawa, 16 października 1906 r. Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



„Leda"

wyżlica niemiecka p. H. Knothe. (Medal złoty).

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Istnieją dane, pozwalające przypuszczać, że dziki w pewnych okresach czasu odbywają rodzaj przesiedlenia, czyli zmieniają knieję. Na tę okoliczność nikt, jak się zdaje, dotychczas nie zwrócił uwagi, a dlatego byłoby do życzenia, aby czytelnicy nasi, szczególniej ludzie wiekowi, zechcieli w tej sprawie swe uwagi nadesłać. Do powyższego wniosku doprowadziły mnie fakty pojawienia się dzików tam, gdzie ich przedtem nie było, i odwrotnie—znikania z lasów, przez całe szeregi lat przez nie zasiedlonych. O ile mogę sądzić z opowiadań starych myśliwych, jednym z okresów wielkiego przesiedlania się dzików były lata, bezpośrednio idące po powstaniu 1863 roku, zatem rok 1864 i 1865. W tym to mniej więcej czasie pojawiły się dziki w Staszowie, gdzie jakoby przedtem nie było ich wcale. Przeciwnie, zasiedlały one podówczas w znacznej ilości lasy prawego brzegu Wisły w niedalekiem sąsiedztwie Warszawy, a mianowicie: Jabłonnę, Nieporęt, Wawer, Miłosnę, Okuniew; dalej idąc—Mrozy, Kotuń, Białę; następnie lasy prawego brzegu Narwi: Zegrzeńskie, Zatorskie, etc. etc. W tych wszystkich miejscowościach, poczynając od lat dwudziestu, stan dzików zaczął się stopniowo zmniejszać, aż w końcu wyniosły się one zupełnie z wielu przytoczonych powyżej, miejscowości; niema już ich dzisiaj ani w Jabłonnie, ani w lasach Wawerskich i Okuniewskich, ani w Miłośnie, a nie słychać też o dzikach w Zegrzu i Zatorach, gdzie jeszcze lat temu piętnaście odbywały się na nie świetne łowy. Natomiast dziki pojawiły się w wielu lasach gub. lubelskiej, gdzie ich przedtem nie bywało, gdy jednocześnie nie słychać o dzikach w gub. kaliskiej (mianowicie w wieluńskim powiecie), gdzie do niedawna w znacznych ilościach lasy zasiedlały. W Międzyrzeccu, mimo sprzyjających warunków, jak np. znaczna, bo 900 włók wynosząca, przestrzeń lasów, wielka ilość gęstych zagajników i t. p., dziki przed laty dwudziestu nie trzymały się stale i dopiero z chwilą, gdy zaczęto ciąć lasy Bialskie, stopniowo przenosiły się na terytoryum Międzyrzeca, gdzie dzisiaj stan ich do świetnych zaliczyć można. Jako jeszcze jeden sprawdzony przykład przesiedlania się dzików przytoczyć można zniknięcie ich z lasów Oborskich pod Warszawą, gdzie przed laty dwudziestu liczono ich z górą sto sztuk, a gdzie dzisiaj na lekarstwo dzika nie zobaczy.

Te migracye dzików, które przypuszczalnie odbywają się w okresach mniej więcej trzydziestoletnich, mają wprawdzie w niektórych wypadkach za przyczynę niszczenie lasów, nie zawsze jednak dadzą się niem umotywować. Przypuszczać raczej należy, że zwierzyna ta, zamieszkując przez okres kilkudziesięciu lat pewną knieję, tak ją wyeksploatuje, że zmuszoną jest szukać nowych obszarów na swe żerowiska. Fakt taki zmiany terenów osiedlenia przez grubą zwierzynę, znany jest w Ameryce i w Afryce, nic więc dziwnego, że i u nas mógł się powtórzyć.

Przeżuwające *(Ruminantia).*

Łoś (Cervus alces) jest największym przedstawicielem rodziny jeleniowatych (*Cervidae*), zamieszkujących północ Starego Lądu. Wyglądem swym przypomina zwierzęta przedpotopowe: wydłużona, garbonosa głowa, podniesiony przodek, rodzaj garbu nad łopatkami, przypominają jakieś zwierzę z tych zamierzchłych czasów, kiedy człowiek, mało różniący się od czworonogów, zamieszkiwał nieprzebyte knieje, żyjąc jedynie z plonów łowiectwa i rybołówstwa.

Łoś stworzony jest do życia wśród lasów błotnistych. Szerokie jego racice stanowią dostateczny opór, aby zwierza utrzymać na bardzo nawet ciężkich trzęsawach, po których żaden inny zwierz, a nawet człowiek przejśćby nie mógł. Utrzymują nawet niektórzy myśliwi, że gdy grunt jest zbyt grzązki, aby go przebyć, łoś kładzie się na boku i tak leżąc, nogami się przepycha.

Racice łosia mają nadto jeden charakterystyczny szczegół w swej budowie, a mianowicie na spodniej stronie brzeg ich stanowi rodzaj ostrego rębu, który pozwala zwierzęciu sunąć po lodzie bez ślizgania się, niby koń na ostro kuty. Dzięki tej strukturze racic, łoś pędzi po lodzie ze znaczną szybkością, bez obawy przewrócenia się.

B. ŁASKA.

Polowanie z „kwikiem“.

(Z życia rosyjskiego).

Miasto gubernialne w głębi Rosyi budziło się do życia rankiem drugiego dnia Wielkiejnocy.

Nad dachami nizkich domów unosiły się z kominów cienkie smugi dymu, który szedł prosto w górę; w powietrzu panowała cisza. Mróz był siarczysty.

Jasne, błękitne niebo rozpostarło się, jak przezroczyste sklepienie, nad miastem, pokrytem białą masą śniegu. Zdala na widnokręgu majaczyło wybrzeże morskie i błękit niebios, tonący w morzu. Z drugiej zaś strony świata, obramowanej gęstwiną leśną, słońce wzbijało się w górę, rozsypując złote, jasne snopy światła na szerokie ulice miasta. W promieniach słonecznych lśniły się wieżyce cerkiewne, srebrzyły dachy, fantastyczne kwiaty lodowe na szybach zamarzniętych okien promieniowały tęczowemi barwami; wszystko wokoło kąpało się w blaskach słońca, witając radośnie zrywających się ze snu, mieszczuchów.

Ulice powoli się ożywiały coraz bardziej, przybierając piętno świąteczne.

Spieszyli się przechodnie, otuleni w ciepłe futra; dzwoniły lekkie sanki i ciężkie sanie, mknąc środkiem ulicy; rozlegał się głos dzwonów 16-tu cerkwi, przenikając do głębi serc mieszkańców miasta.

Przede drzwiami bogatego mieszkania kamienicy jednopiętrowej stała niecierpliwie postać ludzka, drobna, z futrzaną czapką na głowie, szarpiąc za nizko wiszącą rączkę dzwonka domowego.

Drzwi skrzypnęły, rozwarły się i ukazała się w nich pokojówka.

— Praskowia Iwanowna, zdrowia życzę!— zawołał raptownie chłop w czapie futrzanej, wyciągając przyjaźnie rękę.

— Michaił Igoricz,—odrzekła służąca, drżąc lekko z zimna pode drzwiami. — Cóż to was sprowadza? Czybyście lepiej nie zaszli przez kuchnię?

— Wszystko jedno, mam rozkaz przyjść bardzo rano, może pan śpi jeszcze?

— Nie, pan już się obudził i pije herbatę; czy macie co załatwić?

— Nic nie wiem. Dano mi rozkaz przyjść, więc jestem.

— Idźcie przez korytarz, zaraz was zameldują!

— Rzeźnik Szkurkin przyszedł — rozległo się teraz w jadalni.

— Zawołaj go tutaj! — rozkazał gospodarz.

— No, to wchodźcie—rzekła powracająca dziewczyna.

Szkurkin wpierw rzucił czapkę w kąt, pociągnął

Rogi łosia przedstawiają rodzaj wielkich, wklęsłych szufli, z których po brzegu wychodzą mniej lub więcej liczne wyrostki. Ten typ rogów, który można by nazwać normalnym, nie jest wszelako jedynym, gdyż istnieje odmiana łosiów, t. zw. „badylarzy", których rogi nie posiadają wcale szufli, a tylko badylowate wyrostki, wychodzące z jednego, nieco spłaszczonego pnia. Pośród myśliwych Litwy, Inflant i Kurlandyi utrzymuje się przekonanie, że istnieją rzeczywiście dwa gatunki łosi „łopataczów" i „badylarzy" —, różniące się między sobą wielkością i ubarwieniem; ten jednak pogląd nie ma żadnych podstaw, gdyż we wszystkich prawie okolicach, zamieszkanych przez łosie, obie te odmiany żyją obok siebie i niewątpliwie krzyżują się między sobą. Postawić tylko można hypotezę, że ongi Stary Kontynent zamieszkiwały dwa, izolowane od siebie gatunki łosiów, które następnie wskutek zmian, jakie zaszły w konfiguracyi lądów, zeszły się z sobą, a wskutek przemieszania wytworzył się jeden jedyny gatunek, i tylko dzięki atawizmowi ta lub owa forma bierze przewagę w poszczególnych osobnikach. Nie wątpię jednak, że z badylarzy mogą się rodzić łopatacze, i odwrotnie, co samo przez się wyklucza istnienie dwóch gatunków.

Obok powyższej hypotezy możnaby jeszcze postawić drugą, a mianowicie, że normalnym typem rogów są łopatacze, a badylarze są poprostu produktem degeneracyi. To, że bardzo silny łoś może być badylarzem, nie jest bynajmniej argumentem przeciw powyższej hypotezie, gdyż degeneracya może się objawiać w samych tylko rogach, a nie w ciele zwierzęcia, jak to mamy liczne przykłady na jeleniach i sarnach, wpośród których bardzo silne byki lub rogacze posiadają często bardzo słabe rogi. Brak odpowiedniego materyału w paszy do sformowania się rogów, może sprowadzić degeneracyę tychże, gdy jednocześnie też sama pasza zawiera dostateczne pierwiastki do silnego rozrostu ciała. W każdym razie, czy przyjmujemy jedną, czy drugą hypotezę, powinniśmy się raz na zawsze wyrzec przekonania, że Europę zamieszkują dwa gatunki łosi.

Z pomiędzy łosi, zabitych w ostatnich czasach, najpiękniejszemi rogami odznaczał się okaz, który padł w 1898 roku w majątku Hancewicze (gub. mińska) hr. Stanisława Czapskiego. Wspaniałe to trofeum myśliwskie zwracało powszechną uwagę na Wystawie łowieckiej, urządzonej w 1899 r. przez Warsz Tow. prawidłowego myślistwa, i było przez nas opisane w „Łowcu Polskim" z tegoż roku (Nr. 3). Rogi te przy olbrzymich łopatach, liczyły na jednej stronie 13, a na drugiej — 12 badylów, łoś więc był dwudziesto-szóstakiem.

Rogi łosi, jakie widziałem w gub. orłowskiej, należały wszystkie do typu „badylarzy" i nie odznaczały się bujnym rozrostem. Natomiast rogi okazów syberyjskich posiadają bardzo rozwinięte szufle, ale krótkie odrostki i kolor mają blady, co zawsze stanowi wadę w tego rodzaju trofeach.

Łoś zwyczajny zamieszkuje północ Europy i Azyi; w Ameryce zastępuje go tak zwany przez Amerykanów „moose", lub „mosdeere" (*Alces orignal*), odznaczający się olbrzymiemi rogami typu badylowatego.

Łoś zwyczajny spotyka się dzisiaj w Prusach wschodnich, na Litwie, na Wołyniu, w Kurlandyi, w Liwonii, na Inflantach, w Rosyi północnej i środkowej, w Finlandyi, Szwecyi i Norwegii. Niegdyś zamieszkiwał on prawie całe Niemcy; dziś spotyka się jedynie w lasach królewskich Ibenhorst niedaleko Memla. Ostatni łoś zabity został w Saksonii w 1746 roku; w Galicyi przetrzymały się łosie do 1760 roku. W Królestwie Polskiem spotykały się łosie jeszcze stale za pamięci bardzo starych ludzi. Tak np. opowiadał mi, dziś jeszcze żyjący, blizko dziewięćdziesięcioletni starzec, że za jego młodości łosie należały do stałej zwierzyny w lasach Międzyrzeckich. Wraz z posuwaniem się kultury i niszczeniem lasów, zachodnia granica rozmieszczenia łosia odsuwała się ku wschodowi. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnich latach 20-u, dzięki ochronie, stan łosi znacznie się powiększył na Litwie. Z obfitości tego zwierza słyną tam dziś następujące majątki: Porzecze p. Skirmuntta, Nieśwież — ks. ordynata Radziwiłła, Rzepichów — hr. Konstantego Potockiego (wszystkie te trzy majątki położone w gub. mińskiej), oraz Towiany (gub. wileńska) ks. Konstantego Radziwiłła. Piękny stan łosi spotykamy także w wielu majątkach Kurlandyi, natomiast liczba tego zwierza znacznie się zmniejszyła na Wołyniu, gdzie przedtem stan ich był świetny.

Nie należy jednak przypuszczać, aby w Królestwie i w Galicyi łosie nie pojawiały się od czasu do czasu. Mamy liczne przykłady, że pojedyńcze okazy, pchane jakąś tajemniczą siłą, odbywają bardzo dale-

---

za pas skórzany, poprawiając szarawary, a potem płaszcz tłusty, stary; szybkim ruchem pogłaskał ręką bródkę cienką, kozią i splunąwszy silnie na bok, wszedł do jadalni.

— Ach, mój kochany człowieku! — przywitał go gospodarz.

— Do nóg się kłaniam, Aleksandrze Wasiliczu! Smacznego apetytu, wasza miłość! — bełkotał Szkurkin, nizko się kłaniając.

— Dziękuję. Słuchajno Szkurkin, postarasz się o coś dla mnie!

— Z największą przyjemnością!

— Czy nie mógłbyś, mój kochany, wystarać się dla mnie o żywe prosiątko?

— Jakżeż nie? W każdym razie! Czy to ma być świnka, czy może knurek?

— Wszystko jedno!—zaśmiał się Aleksander Wasiliewicz,—wiesz ty, potrzebne to nam do polowania; na wilki chcemy dzisiaj pojechać, a do tego potrzeba nam prosięcia na wabia.

— Aha! No, teraz rozumiem wszystko, — bardzo głośnego?

— Tak, tak! Czy możesz zatem dostarczyć, czy nie? O cenę mniejsza, płacę ci natychmiast z góry.

— Rozumie się, że przyniosę—wykrzyknął Szkurkin, kłaniając się i wyciągając ręce.

— A zatem naprzód marsz, przynoś!

— Natychmiast tu będzie! A no, do widzenia.

Szkurkin zniknął. Aleksander Wasiliewicz wypił ostatni haust herbaty, wszedł do gabinetu, usiadł przy biurku i zapalił pierwsze cygaro, puszczając kłęby dymu. Zagłębiał się w słodkiem rozmyślaniu.

Dziś wieczorem musi z całem towarzystwem jechać na polowanie na wilki z prosięciem. Wczoraj dopiero dał słowo przyjaciołom, że zajmie się urządzeniem tej wyprawy. „Odmawiać niepodobna; co noc włóczą się wilki, zachodzą nawet do miasta, a we wsiach poblizkich są częstymi gośćmi. Jak to nęci! Próbować przecież można,—a nuż! Byłaby z tego para ślicznych kobierców pod nogi! A jeżeli wyjdzie duże stado?—To byłoby w każdym razie straszne!" — I Aleksander Wasiliewicz zmarszczył czoło.

Zresztą—dlaczego się będzie martwił? Sam jeden jest na świecie, wdowiec bezdzietny, ma lat 45, w jego piersi „goreje jeszcze ogień silnych namiętności", a przecież nikt po nim płakać nie będzie.—Za to przejażdżka ma także swoje przyjemne strony: umówili się po drodze wstąpić na pogawędkę do Tolewa, który ich wszystkich oczekuje z upragnieniem. Pragnie ten rabuś zasiąść z nimi jaknajprędzej do kart! No, dlaczego nie,—można przecież próbować—odegrać się. A jak karta pójdzie dobrze, wtenczas niech dyabli wezmą wszystkich razem z wilkami,—wtenczas przecież będzie bardzo przyjemnie!

(C. d. n.).

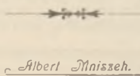


kie wędrówki. Tak np. w ciągu ostatnich lat 30-tu łosie dwukrotnie nawiedziły lasy Lubartowskie (gub. lubelska), oba razy życiem przypłacając chęć dalekich migracyj. Również przed 10-u laty łoś zabłąkany padł w Różance (gub. siedlecka) od kuli właściciela majątku, hr. Augusta Zamoyskiego. Najciekawszą jednak jest wędrówka dwóch łosi, które przed kilkunastu laty pojawiły się w Galicyi. Pojawienie się ich sygnalizowano kolejno w różnych częściach kraju, aż zwierzęta te, posuwając się od wschodu ku zachodowi, dobrnęły do Krzeszowic pod Krakowem. Tutaj jeden z nich przesadził wysoki parkan, otaczający podówczas olbrzymi zwierzyniec krzeszowski, gdy tymczasem drugi przeszedł granicę Królestwa i zabity został przez p. Helcla w jego majątku, położonym w gub. kieleckiej P. Helcel opowiadał mi, że dano mu znać o pojawieniu się w lesie jakiegoś nieznanego zwierza. Urządził więc nań obławę i przekonał się, że ma do czynienia z łosiem, którego, dzięki szczęśliwemu spotkaniu, celnym strzałem powalił.

Tymczasem drugi łoś, wpadłszy do parku krzeszowskiego, nie miał odwagi, czy też chęci wydobyć się z niego i przebywał spokojnie wśród licznych stad jeleni. Obecność o tem szybko spostrzegła służba miejscowa, a wiadomość jego wkrótce rozeszła się po kraju, powodując wśród myśliwych prawdziwą sensacyę. Dowiedział się o tem między innymi ówczesny główno dowodzący wojskami w Galicyi, ks. Windischgratz, a jako stały gość zamku krzeszowskiego, zapragnął na własne oczy zobaczyć tak niezwykłego zwierza. Aby zadośćuczynić temu pragnieniu, łowczy krzeszowski, p. Albus, urządził dla księcia małą nagankę, której rezultat był niespodziewany. Łoś, party przez obławników, zamiast wyjść na linię, gdzie stał książę, przesadził przez parkan i powędrował dalej. Wkrótce sygnalizowano pojawienie się jego na Szlązku austryackim, gdzie też został zabity. W sposób więc tragiczny zakończyła się wędrówka tych dwóch podróżników, którzy przebywszy olbrzymią przestrzeń, znaleźli śmierć zdala od swych rodzinnych lasów.

Jan Sztolcman.

(C. d. n.).



JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

(Ciąg dalszy).

Według badań pierwszorzędnych naturalistów, jak Brehma, Naumanna i Bartha, oraz specyalnych jarząbkoznawców, jak Krüdenera, Sabaniejewa, Valentinitscha etc., jarząbek jest, podobnie jak śnieżka i pardwa, a w przeciwieństwie do głuszca i cietrzewia, zdeklarowanym zwolennikiem jednożeństwa. Jarząbki łączą się w pary już w późnej jesieni, a w każdym razie wcześnie przed porą toków. Pary te trzymają się już razem, chociażby nawet ich ląg podpadł zniszczeniu. W porze toku, znajdzie się kurę z kogutem w parze, chociaż inne, nadliczbowe samce, daremnie miłości u niej szukają. Zjawiska takiego, by tokujący kogut kury koło siebie gromadził, jak się rzecz ma z głuszcami i cietrzewiami, nikt jeszcze u jarząbków nie zauważył. Jeszcze jedna okoliczność przemawia za tem, że jarząbki żyją w jednożeństwie, a to, że stwierdzonem zostało, iż we wszystkich gatunkach ptaków, tak żyjących, samce i samice w upierzeniu całkiem nie, lub tylko mało się od siebie różnią (np. jarząbek, kuropatwa, przepiórka, bocian, jaskółka etc.), gdy przeciwnie gatunki, żyjące w wielożeństwie, wykazują pod względem płci wielkie zmiany w kolorze sukni (np. paw, bażant, głuszec, cietrzew, kaczka dzika).

Niema więc wątpliwości, że pobrana parka jarząbków przysięga sobie miłość dozgonną przed wielkim ołtarzem przyrody, pomyliłby się jednak ten, ktoby chciał jarząbka uważać za symbol wierności małżeńskiej. Kura po zgonie męża nie nosi wcale żałoby, lecz w tej chwili wstępuje w ponowne związki małżeńskie, a kogut, w chwili, w której żona jego zasiada na jajach, korzystając z wolności, umizga się do nadobnych sąsiadek, zawsze jednak daremnie, gdyż kur jest mniej od kogutów i wszystkie zajęte, a wtedy to pada taki zalotnik często ofiarą swej żądzy, gdyż myśliwy, naśladując głos kury, łatwo go na strzał zwabia.

Wobec tego, że jarząbki żyją w jednożeństwie, właściwego u nich toku, jaki odbywają dwa inne kuraki leśne, niema.

Śpiew samca i samicy w porze godowej jest taki sam, jak w jesieni.

W marcu zaczynają się już wabić. Samiec odzywa się przeciągłym, cienkim, przerywanym, samica krótkim, raz uciętym świstem. Ptaki biegną i podlatują do siebie, a spotkawszy się, kilka chwil z sobą przepędzają. Samiec, goniąc za samicą, podnosi i rozchyla czubek, rozszerza ogon i wydaje głos krótki, który według Taczanowskiego brzmi: „czyk-czyk-czyk“. Wabią się rankami i wieczorami do końca maja. W jesieni młode, gdy ze stadek się rozlatują, podobnie się wabią i łatwo je wtedy ściągać na strzał, za pomocą wabika, o czem w następnym rozdziale obszerniej pomówimy.

Wobec braku właściwego toku, odpadają i walki kogutów między sobą, tak innym kurakom leśnym właściwe. Zdarzają się one raczej wtedy, gdy stare swoje już dojrzałe potomstwo z rodzinnych stron wypędzają. Są to jednak wypadki nader rzadkie. Valentinitsch raz w życiu widział walkę dwóch samców, które, wzorem domowych kogutów, zaciekle, tak długo walczyły, póki jeden z nich, zwyciężony, nie dał za wygrane i ucieczką bitwy nie zakończył.

Kura gnieździ się z końcem kwietnia lub w początku maja, a gniazdem jej jest w ziemi wygrzebany dołek, skąpo wyścielony trawą i liśćmi. Miejsce na gniazdo obiera zawsze wśród małych drzew szpilkowych, jałowców, ożyn, lub malin, zwykle tak, że ma osłonę z góry, a i trudne jest do znalezienia.

Raz w połowie maja przy pomocy psa legawego znalazłem gniazdo i siedzącą na niem kurę. Siedziała pod gałęzią małego świerka i tak była ze wszystkich stron osłoniętą, że gdyby nie pies, który ją wystawił, nigdybym się był jej obecności nie domyślił.

Siedziała cicho, nieruchomo, i nie zerwała się, mimo że pies prawie się jej nozdrzami dotknął, i że ja rozchylałem gałęzie, by się przekonać, do czego pies stoi, a później go za obrożę od niej odciągnąłem. Zdarzają się jednak gniazda jarząbków i w miejscach więcej widocznych, chociaż z reguły ptak ten w wyborze miejsca lęgu okazuje więcej przezorności, niż głuszec, którego gniazdo często i na drogach leśnych się spotyka, gdy znalezienie gniazda jarząbka do bardzo rzadkich wypadków należy.

W Europie środkowej jarząbek na drzewie się nie gnieździ i nikt takiego wypadku nie widział, według jednak Sabaniejewa, zdarza się to czasem w Uralu, co jednak do wielkich rzadkości zaliczyć trzeba.

Samica niesie, według Valentinitscha, 8 do 12, według Taczanowskiego — 8 do 14 jaj. Wymiar ich wynosi zgodnie z pierwszym i drugim naturalistą, mniej więcej 38 do 42 mm długości, a 28 do 30 mm szerokości. Są one mniejsze więc od cietrzewiowych i głuszcowych, tło mają blade, opatrzone w plamki rdzawo-brunatno-ciemne.

Kura przy końcu wysiadywania, które trwa oko-

lo trzech tygodni, na jajach tak twardo siedzi, że się w rękę brać pozwala, i w razie napaści drapieżnika, w ucieczce ratunku nie szuka, wskutek czego często sama wraz z całym lęgiem przepada.

Jeżeli, jak to mówiliśmy, jarząbek za wzór wierności małżeńskiej uważanym być nie może, to kurę z tego gatunku możnaby obrać symbolem macierzyńskiej miłości. Kura, którą matka przyroda żadną zgoła przeciw najmniejszym nawet nieprzyjaciołom nie uposażyła bronią, w obronie swych małych śmiało przeciw największym drapieżnikom się stawia, nigdy w ucieczce ratunku nie szuka, poświęcając wprost heroicznie życie za swoje potomstwo.

Nie głupota więc i nieostrożność, jak myślą niektórzy, lecz bezprzykładna wprost miłość macierzyńska kury jest powodem, że tak łatwo jest drapieżnikowi wyniszczyć w danym rewirze jarząbki i że tam, gdzie szkodników jest więcej, ptaki te z trudnością dają się rozmnożyć.

Taki wzruszający przykład miłości macierzyńskiej i połączonej z nią odwagi, podaje Valentinisch w pracy swej o jarząbku.

Pewien myśliwy, pisze on, spotkał niespodzianie stadko nieumiejących jeszcze latać, młodych jarząbków. Dwoje z nich, które dalej od swoich odbiegły, złapał i włożył do czapki. Na wołanie tychże zjawiła się zaraz matka, i groźnie nastroszywszy pióra z właściwym jej, alarmowym krzykiem „ruk, ruk, ruk“, na rękę myśliwego wskoczyła. Ten małe natychmiast wolnością obdarzył, a rodzina cała nieuszczuplona, zniknęła natychmiast w krzakach.

(*„Łowiec“*). (*C. d. n.*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

8 września. Wyruszamy o 7 rano w stronę górnego Mugitani. Przybywszy na stoki najbliższe, mamy przed sobą piękny widok na jezioro Baringo z jednej strony, a na obszerną równinę—z drugiej. Wielkie stado oryks'ów pasie się na horyzoncie.

Chandi, któremu się zdaje, że zna krainę, chce poprowadzić karawanę do wschodniej części tej równiny, gdy jednocześnie mąż mój obstaje przy tem, aby się skierować ku północy. Lecz chcąc się przekonać raz na zawsze o zdolnościach tego murzyna nieznośnego i próżnego, zgadza się na jego opinię, pozostawiając mu nawet zaopatrzenie w żywność całej karawany. Skutki tej decyzyi będą fatalne: nie spotkamy elandów, na które mieliśmy zamiar polować, a personel karawany przez pięć dni będzie zmuszony żyć skromnemi racyami.

Rozsyłamy przewodników w różne strony, aby szukali tropów świeżych. Jeden z Massajów powraca z wiadomością, że widział 10 żyraf o półtorej godziny drogi od obozu, tam właśnie, gdzie Guy miał zamiar się udać. Wkrótce puszczamy się w drogę; ja popędzam swego muła, gdy jednocześnie Henryk walczy z upartym i leniwym osiołkiem.

Nie chcąc spłoszyć żyraf, Guy postanawia nie strzelać do żadnej zwierzyny. Jak na złość, spotykamy co chwila stada m'palahów, skaczących ze zwykłą sobie gracyą i zręcznością; dalej widzimy całą rodzinę phacocherów, szakala i Bóg wie, co jeszcze. Po godzinnej jeździe porzucamy nasze wierzchowce, aby się wdrapać na sąsiednie wzgórze, idąc po tropie żyraf, które badamy z ciekawością, gdyż są to pierwsze ślady, jakie nam się udało widzieć i jedyne z tropów grubej zwierzyny, których jeszcze dotychczas nie widzieliśmy. Po drodze omijamy ostrożnie stado zebr i oryx'ów, których ucieczka mogłaby spłoszyć żyrafy. Na nieszczęście ten wypadek musiał nam się zdarzyć, dzięki temu, żeśmy jedno stado oryx'ów omijali zbyt blizko, bo ledwie na ośmdziesiąt metrów. Przybywamy jeszcze w porę, aby spostrzedz na dwieście metrów dwie wspaniałe żyrafy — dziesiątaki, spokojnie szczypiące młode pędy mimozy. Spłoszone przez uciekające oryx'y, umykają szybko wśród skał, po których nie łatwo nam jest posuwać się naprzód. Już ich nie spotkamy; spuszczamy się więc do rzeki, stanowiącej granicę terytoryów Jubalandu, na których urządzono rezerwę myśliwską (miejsca ochronne). Woda tego strumienia jest o wiele lepszą, aniżeli w rzeczce, nad którą nas zaprowadził ten dureń Chandi. Idziemy czas jakiś w górę tego strumienia, poczem wydostajemy się na wielką równinę, gdzie oczom naszym przedstawia się w odległości 500 do 600 metrów stado żyraf, z 14 sztuk złożone, wpośród których wyróżnia się olbrzymi samiec. Szyje ich do połowy wystają ponad drzewami, których równe, w formie parasoli — wierzchołki, służą im za stół, do jedzenia zastawiony. Zwierzęta ruszają stępa, idąc gęsiego jedno za drugiem, niby konie podczas parady; następnie coś je przestrasza (wieczorem dowiemy się od Henryka, że to jego dwa nosorożce), robią wszystkie piruety i pędzą galopem. Dziwny to galop: przy każdym kroku przednia noga niby się łamie, głowa z szyją tworzą rodzaj metronomu, a ogon dynda się zabawnie na obie strony.

Zatrzymują się wreszcie; lecz czas już oderwać oczy od tego ciekawego widoku, gdyż noc się zbliża, a z nią i zwykła w tych krajach burza; błyskawice już przerzynają niebo na horyzoncie.

Henryk tymczasem zabłądził i mamy chwilę niepokoju. Opowiada nam, że dwa nosorożce zagrodziły mu drogę, lecz na szczęście stały, względem niego, z dobrym wiatrem. Pozostawił je w spokoju, gdyż nawet nie miał przy sobie strzelby!

9 września. Wykonawszy tym sposobem część swego programu przez pokazanie nam żyraf, Guy zarzuca plan polowania na elandy i ruszamy z zamiarem szukania bawołów. Ku wielkiej mojej radości, zabijam antylopę Granta i chybiam do szakala.

Henryk, który się znalazł na przodzie orszaku, rusza trzy strusie — dwa samce i samicę. Próbujemy zrobić na nie nagankę przy współudziale wszystkich tragarzy, a pod dyrekcyą Henryka na mule. Strusie jednak mają się na baczności, więc zarzucamy dalsze polowanie. Chandi raz jeszcze prowadzi karawanę tam, gdzie nie potrzeba; bez żadnych więc skrupułów ruszamy dalej, dając całemu personelowi powód do kpinek ze swego przywódcy. Rozbijamy obóz o trzy kwadranse drogi dalej w głębokim wąwozie, którym rzeka Mugitany wydostaje się z wyżyn Laikipii. Jest to niewątpliwie w przyszłości droga pomiędzy Rumuruti a posterunkiem Baringo, który ma być przeniesiony na małe wzgórze, niedaleko od naszego dzisiejszego obozowiska. Miejscowość jest zachwycająca.

Posyłamy po naczelnika osady Suków, aby go wybadać w kwestyi zwierzyny, gdyż, jak dotychczas, zamiast tropów bawołów, spotykaliśmy jedynie ślady bydła domowego. Według jego zdania, niema tu co robić, gdyż zwierzyna wyniosła się od czasu, jak się tu osiedlił. Musimy więc jutro porzucić te okolice.

10 września. Burza dnia wczorajszego rozpoczęła się już po naszym obiedzie. Gdyby nie to, że poszłam spać wcześnie, mogłabym zobaczyć przy świetle błyskawic dwa nosorożce, spacerujące o 100 metrów od obozu. Wyruszamy o 7-ej i po godzinnym marszu spostrzegamy 13 żyraf. Znajdują się od nas o jakie 500 metrów; przyglądamy się im z ciekawością przez

kwadrans czasu, gdy jednocześnie Henryk podchodzi, aby je sfotografować.

Uganiam się za pięknemi, karminowemi motylami, które, na nieszczęście, są bardzo płochliwe. Pozostawiam więc Hassaniemu łowy na nie, a sama zabijam wielkiego dropia-samicę, z której zrobimy na obiad doskonały rosół.

Rozbijamy obóz w tem samem miejscu, gdzie Guy urządził swą ostatnią zasadzkę: będzie to punkt centralny przy polowaniu na lwy. Guy i misyonarz polują na antylopy „mpalah" i „Granta", aby zdobyć nieco mięsa dla tragarzy, którzy już od czterech dni jedzą wyłącznie „posho". Chandi stracił do reszty głowę.

11 września. Dziś jest strasznie gorąco, robię więc tylko wycieczkę w pobliżu obozu, gdzie się spotyka na każdym kroku małe dik-diki z ich wdzięcznemi główkami, wystającemi ponad niewysokie trawy. Polowanie jednak nie udaje się: zabijam tylko dwa szczury piżmowe.

Guy powraca o pół do drugiej. Od godz. 7-ej rano szedł on za lwem, mając go ciągle w niewielkiej odległości przed sobą. Trzy strzały misyonarza, który polował „na kuchnię", ruszyły zwierza z barłogu, jeszcze ciepłego. Zwierz uchodził z wiatrem, prowadząc Guy'a po przez góry i skały; nie dał się jednak na strzał podejść. Mąż mój w drodze powrotnej zabił dik-dika i spotkawszy *zbyt blizko* 8 nosorożców, z których żaden jednak nie równał się zabitemu przez nas. Pierwszy z nich rzucił się na mego męża, lecz ten z łatwością uskoczył na bok. Tropy lwa zaprowadziły Guya wprost na inne nosorożce, stojące z dobrym wiatrem; w chwili jednak, kiedy je obchodził, aby podjąć na nowo tropy drapieżnika, dwa inne szarżowały na niego z szaloną zajadłością. Guy zaledwie uniknął tego ataku i stał, aby się odsapać, gdy dwa inne szarżowały na niego z uporem w pośród gąszczu mimozowego. Puścił się, co tylko mógł, i gdy nareszcie wybiegł na bardziej otwarte miejsce, aby w bok uskoczyć z dobrym wiatrem, nosorożce znajdowały się zaledwie o 5 metrów. Zwierzęta przeszły obok, jak dwie lokomotywy sapiące, i zatrzymały się o 20 metrów, skąd już nie poczuć nie mogły. Niebezpieczeństwo minęło. Miał wprawdzie Guy dwie kule ze stalowemi końcami w swym sztucerze cal. 450, lecz nie było już potrzeby ich użycia, gdyż zwierzęta odeszły spokojnie kłusem. Jedyny raz w tym wypadku Guy widział Ongwatochę, uciekającego w chwili szarży. O 5-ej mamy burzę i bridge'a, potem obiad.

12 września. Budzę się o pół do czwartej. Guy już wstał i oznajmia mi, że księżyc świeci wspaniale, lecz nie było słychać ryku lwa. W tej samej chwili rozlega się jakby tuż ryk lwa (zwierz znajdował się w rzeczywistości o dwa kilometry), potem drugiego i trzeciego.

Guy natychmiast robi przygotowania, sprawdzając dobrze, skąd ryk dochodzi, a następnie oczekuje świtu, aby rozpocząć tropienie. O pół do szóstej wyrusza z obozu. Ja tymczasem, drzemiąc, oczekuję rezultatu tych łowów.

O 10-ej dostaję bilecik!! „Zdobyłem drugiego lwa; tropię lwicę. Przyślijcie mi hamak i tragarzy. Jeśli chcesz przyjść, to tylko z misyonarzem, gdyż są po drodze nosorożce".

Misyonarza niema, więc czekam!

O pół do dwunastej nadchodzi Guy ze wspaniałym lwem. Podczas śniadania, gdy obok ludzie obciągają skórę z drapieżnika, mąż mój opowiada swe przygody. „Po półgodzinnym marszu spostrzegam na brzegu dużej polany młodą lwicę, w chwili jednak, gdy ją biorę na cel, zwierz znika, zanim się mogłem zmierzyć do względnie małego celu na odległość 200 metrów. Przybywszy na miejsce, gdzie lwica stała, znaleźliśmy resztki antylopy Granta, z której drapieżnik zrobił sobie ucztę. Czaszkę ofiary zachowałem dla siebie, poczem ruszamy dalej. Lwica jednak uchodzi przed nami, mając wiatr sprzyjający, przebywa Mugitany; wówczas zaniechałem pościgu, przypomniawszy sobie regułę, że lwa, przyłapanego na zdobyczy, trzeba zabić na miejscu, bo inaczej nigdy się już nie da podejść. Zresztą pocieszam się myślą, że mi pójdzie lepiej w przyszłości, gdyż ryk, słyszany rankiem, nie należał bynajmniej do lwicy.

„Idąc dalej w tym samym kierunku, wkrótce (o godzinie 7-ej) wpadam na tropy lwa i lwicy, idących równolegle, co oznaczało, że drapieżniki oddawały się łowom; puszczam się tedy śladem. Około pół do dziewiątej mój shikari ciągnie mnie raptem za rękaw i spostrzegam w odległości 150 metrów głowę lwa i jeszcze coś obok niej. Jest to dystans zbyt daleki, a pozycya zbyt niekorzystna. Schyliwszy się i przemykając się ostrożnie między mimozami, staram się zajść pod wiatr, lecz przybywszy na miejsce, spostrzegam, że lew już się wyniósł; widocznie nas widział i poczuł. Na szczęście zarośla nad brzegami Mugitany stają się gęstszemi, więc po półgodzinnem tropieniu słyszę wreszcie lekki pomruk przed sobą, a następnie ryk bardziej znaczący. Jeszcze nieco dalej moi myśliwcy pokazują oba lwy w cieniu wysokich drzew, wpośród roślinności kolczastej, po drugiej stronie strumienia, mniej więcej o 40 metrów odemnie. Chociaż nie rozróżniam zwierząt zbyt dobrze, ale obawiając się stracić raz jeszcze sposobność strzału, biorę na cel lwa, który w tej chwili robi jeszcze krok jeden za krzakiem i pozostawia tylko widocznym zad nieco z ukosa. Szczęśliwa kula w krzyże powoduje ryknięcie i wali zwierza na miejscu. Widzę, jak się wlecze na przodku, strzelam więc po raz wtóry z lewki mego cal. 450 i przeszywam mu łopatkę. Trzeba teraz przebyć strumień, który mierzy metr głębokości w tem miejscu, a brzegi są strome i tak śliskie, że padam i w trakcie tego schwyciwszy się za gałęź, wykręcam sobie rękę. Na szczęście naprawiliśmy szybko to zwichnięcie, a przeprawiwszy się na drugą stronę, znajduję z radością swego lwa, rozciągniętego jak długi. Gdy jestem odeń na 10 metrów, unosi się na zadzie, rycząc ze wściekłością, lecz rzucić się już nie może. Palę do niego zrywczo z mego paradoksu i kula przeszywa nos, łamie jeden ząb, a przeszedłszy pod językiem, zatrzymuje się pod skórą na łopatce—prawie taki sam strzał, jak do mego pierwszego lwa, tylko nie tak szczęśliwy. A jednak zwierz padł na wznak i pozostał tak z paszczą do góry wzniesioną; zdawaćby się mogło, że już ma dosyć. Niechaj dzięki będą Edwardowi Foa za jego cenne rady, gdyż, mimo pozory, zanim podszedłem do zwierzęcia, rzuciłem kamykiem w głowę; i dobrze się stało, bo w tej chwili lew się uniósł na nowo i ryknął jeszcze straszniej, aniżeli za pierwszym razem. Strzelam raz jeszcze z paradoksu i kula przebija czaszkę nieco na prawo i pod lewem okiem. Tym razem pada, aby się więcej nie podnieść. Dodam tylko, że przed każdym z tych dwóch ostatnich strzałów byłem najzupełniej przekonany, że lew nie jest już w stanie szarżować, lecz ryk jego i unoszenie ciała były w tak wysokim stopniu groźne, że nie mogłem się wstrzymać od strzelania.

„Ruszam wtedy za lwicą, która umknęła, jak zając".

Lew był bardzo tłusty; w żołądku znaleźliśmy dik-dika. Zbieramy skrzętnie wszystek tłuszcz, który ma być doskonałym środkiem na reumatyzmy.

Spotykamy dziś mnóstwo motyli; zresztą kwiaty więdną pod wpływem nieznośnych deszczów, które padają bez końca. Dziś jednak pod wieczór chmury się tylko zebrały, a deszcz nie padał. Z obawy zmoknięcia, Guy nie idzie dziś na zasadzkę, aby oczekiwać na lwicę w pobliżu miejsca, gdzie został zabity jej małżonek. W samej rzeczy, byłoby szaleństwem iść tam w noc ciemną, ryzykując wpaść na jakiego nosorożca. A zresztą Guy nie chce iść na zasadzkę, zanim nie wypocznie cały dzień po zmęczeniu dzisiejszem: nie warto powtórnie robić takich głupstw, jak 7-go września. Guy zarzucił myśl robienia zasadki

w „bomie“. Jeden jest tylko sposób praktyczny: nie szykować żadnych sztucznych zasłon, a tylko ulokować się pod grubem drzewem, mogącem w danym razie służyć za schronienie, tylko uprzednio przeciągnąć przez grube gałęzie dwa sznury, służące do ucieczki: jeden dla siebie, a drugi dla człowieka, obsługującego prożektor.

(*C. d. n*).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

24 lutego. Jak zwykle, opuściłem obóz przed wschodem słońca, by dżunglą dotrzeć do Palle-Potana, dokąd moja żona z taborem miała o parę godzin później wyruszyć. Długi marsz mamy dziś przed sobą: z górą 10 mil angielskich.

Na wstępie natknęliśmy się na całą rodzinę dzików, z ojca, matki i z kilkunastu warchlaków złożoną. Takieśmy je cicho zeszli w wysokiej trawie, że warchlaki pod samemi nogami się kręciły. Nie strzelałem, nie chcąc płoszyć grubszej zwierzyny.

Pragnąłem przed południem odwiedzić jezioro, zwane Kanthalajtank, sławne w całej okolicy z ilości ptactwa, wokoło się gnieżdżącego, i nie żałuję kilkumilowego zboczenia z drogi, bo nic podobnego w życiu nie widziałem. Miano jeziora właściwie nie jest odpowiednie, bo woda w niem stoi tylko w porze deszczów, w suchym zaś sezonie jest to rozległy, karłowatemi drzewami okolony moczar, z którego gdzieniegdzie wysokie kopce się wznoszą. Wszystkie te kopce i setki drzew wokoło są literalnie pokryte ptasią młodzieżą, która, wyleciawszy z gniazd, na nich się trzyma. Krocie pelikanów, czapli, bąków, bocianów rozmaitych gatunków, flamingów i t. p. żyje tu razem w najlepszej komitywie. Pisk, gwar i wrzask nie do opisania. Młodzież do lotu jeszcze niewprawna, siedzi na drzewach, skrzydłami trzepocząc. Starsze polatują w niewielkiej wysokości, lub spacerują po ziemi. Ostrożni rodzice krążą wysoko w powietrzu, tylko krzykiem starając się ostrzedz młódź przed zbliżającem się niebezpieczeństwem. Połapaliśmy rękoma kilkanaście sztuk pelikaniąt i czapli i udało mi się spuścić z wysokości parę sztuk starych okazów, między któremi ślicznie upierzonego, t. zw. Pelikan-Ibisa (Tantalus leucocephalus). Nieco większy od naszego bociana, ma głowę, dziób i nogi jasno-pomarańczowe, skrzydła zielone, zakończone różowemi piórkami, brzuch biały z różowemi odcieniami. Ciekawy ten ptak zamieszkuje tylko południowe okolice Cejlonu i Indyj, oraz wyspy Malajskiego archipelagu, i należy do rzadszych okazów ptasiej fauny tych krain. Tyzenhaus wspomina o nim, nazywając go „dławigadem indyjskim“ (Ornitologia powszechna, tom III, str. 293), i twierdzi, że ptak ów odkryty został na Cejlonie przez słynnego ornitologa Forstera.

Ogromną postawą uderza bocian czubaty (Leptoptillus javanicus), biorący swą nazwę od pęku piór, które mu sterczą, jak czub, na gołej głowie, ciemnosiwy, z gołą, brzydką, jakby oskubaną szyją. Złapaliśmy parę sztuk młodych tego gatunku, ale starego nie udało mi się dostać. Nazywają go tu niewłaściwie czarnym pelikanem, dla odróżnienia od białego (Pelecanus Philippinesis), który do pospolitych ptaków należy.

Z czapli odróżnić zdołałem: naszą zwyczajną, siwą czaplę (Ardea cinerea) i jej pokrewną, purpurową odmianę (Ardea purpurea), najliczniej reprezentowany biały gatunek (Herodias intermedia) z cenną kitką na głowie, i pospolitą Bubulcus coromandus; złapaliśmy żywcem z każdego rodzaju po parę sztuk młodzieży i do obozu zabrali.

Cóż to za pole dla studyów dla ornitologa, gdzie w jednem miejscu zebrany cały niemal wodny i brodzący świat ptasi tych stref dalekich! Wyliczyłem powyżej tylko kilka gatunków, które przypadkiem są mi znane, a dziesiątki innych odmian, których nazwać nie umiem, uszły mej uwagi. Mówiono mi, że na całej wyspie niema podobnie ciekawej pod względem ornitologicznym, miejscowości.

Zabłądziliśmy w dżungli, szukając powrotnej ścieżki do Palle-Potana, już po raz trzeci w tym tygodniu. Najwprawniejszy tropiciel i najlepszy przewodnik gubi się nieraz w tym labiryncie ścieżek i przesmyków, niczem się nieróżniących jedne od drugich, gdzie niema punktu oryentacyjnego: ciągle jedno pasmo nizkiej dżungli, małemi polankami przerwanej, i ściana zwartego gąszczu do drugiej, jej podobnej przytyka.

Nie znam nieprzyjemniejszego uczucia, niż błądzić wogóle, czy to w śnieżnej zadymce na stepach Ukrainy, czy w głuchym borze Białej Rusi, czy wreszcie w dżungli podzwrotnikowej. To ostatnie jednak wydaje mi się najprzykrzejszem; robi się człowiekowi na sercu tak jakoś obco, tak rozpaczliwie nieswojsko i straszno, że ta śliczna, czarująca dżungla, której urok wciąż chwalę, przekształca się odrazu w piekielny labirynt, z którego się pragnie wydostać jaknajprędzej. Tym razem jednak nie błądziliśmy długo i ładny epizod myśliwski wynagrodził kilkugodzinne zboczenie z drogi. Zeszliśmy niepostrzeżenie dwa jelenie-sambury nad brzegiem jeziorka i jednego z nich dało mi się rozciągnąć w chwili, gdy wstawał z moczarka, w którym odpoczywał.

Jeleń-Sambur (Rusa Aristotelis), przez Anglików na Cejlonie niewłaściwie łosiem (elk) przezwany, jest najzupełniej tym samym gatunkiem cervida, który w Indyach jako sambur jest znany, i którego piękny egzemplarz rogala koło Goony, w Indyach środkowych, ubić mi się udało. Może budowa jego ciała, silna i zasadzista, mniej smukła, niż u zwykłego jelenia, o ciemnej, prawie czarnej sierci, krótki kark, brodaty i gruby łeb wprowadziły w błąd pierwszych, osiadłych na wyspie, sportsmenów angielskich, którzy go za łosia wzięli i jego nazwą ochrzcili. Do dziś dnia miano to przetrwało, choć sami Anglicy błąd ten uznają. Konformacya rogów jest czysto jelenia.

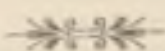
Mój dzisiejszy sambur, duży i łojny, lecz w rogach słaby, jakby myłkus się być zdaje, bo ma tylko dwa krótkie, grube pieńki, niekwalifikujące go na ładne trofeum. Za to dla naszej spiżarni pożądany to kąsek. Kulisi wzięli się do ćwiertowania jelenia; najprzód skórę zdjęli, potem wycięli najlepsze sztuki mięsa dla naszej kuchni i dla siebie. Niema mowy o zabraniu z dżungli całkowitej sztuki większego zwierza, chyba że polegnie pod samym obozem. Ścieżki tak wązkie i gąszcz tak przykry, że zaledwie z trudnością przeciska się kulis, niosący kawały mięsa, skórę, lub inne trofea.

Wracamy do obozu obładowani. Na jednym kiju niosą kulisi mięso i skórę jelenia, na drugim pęk żywych i ubitych ptaków wodnych różnego gatunku.

Obóz nasz zastajemy rozbity w Palle-Potana, w głębi dżungli na łączce, gąszczem okolonej, w cieniu rozłożystego drzewa kumbukku. Trzymamy się wciąż w bliskości morza, którego szum nas dotąd nie opuścił. Dżungla tu się nieco przerzedza, więcej tu otwartych równin, łąk i obszernych polanek, ulubione miejsce wypasów bawołów i jeleni. Grosso modo podzielić można dżunglę cejlońską według jej wyglądu i te-

renu, na trzy główne rodzaje, które Anglicy pod następującemi nazwiskami rozróżniają: „low-jungle", czyli dżungla nizka, w której się właśnie znajdujemy, utworzona z ciemnego gąszczu nizkiej, karłowatej i kolczastej roślinności, gdzieniegdzie tylko halawami przerwana; „big-jungle", czyli knieja we właściwem znaczeniu i w naszem pojęciu tego słowa, częściej w okolicach górzystych, lub w bliskości większych rzek się trafiająca: wreszcie „open country", czyli szerokie równiny, wysoką trawą porosłe prerye, z rzuconym tu i owdzie klombem drzew i gęstwiny. Naturalnie podział ten bardzo powierzchowny i pobieżny nie w każdej okolicy da się zastosować; nieraz wszystkie trzy rodzaje zlewają się razem w całość jednej kniei.

(C. d. n.).



Otwarcie polowań.

Z powodu otwarcia polowań, „Matin" paryski i „Tageblatt" berliński zamieszczają szereg uwag i informacyi, które powtarzamy w streszczeniu. To ostatnie pismo, z którego przytoczyliśmy niedawno wskazówki z okazyi otwarcia polowania na kury, zajmuje się obecnie otwarciem polowania na zające, pisząc między innemi:

Czasy się zmieniły także u myśliwych. Przed kilkunastu laty jeszcze zaczynało się polowanie na kury jednocześnie z polowaniem na zające, d. 24 sierpnia. Polowano wtedy dużo z psem na zające przy okazyi polowania na kury, strzelając głównie dotrzymujące zajęczyce, a potem się dziwiono, że stan zajęcy upada coraz bardziej. Położenie niewiele się zmieniło, gdy opóźniono otwarcie polowania na zające do d. 1 września. Zdawało się, że ludzie nie wiedzą o tem, iż w początku września wiele zajęczyc jeszcze się koci, a przeto należy je oszczędzać. W końcu jednak to zrozumiano i słusznie ogłoszono w Niemczech prawo, odraczające termin otwarcia polowania na zające do d. 1-go października. Polowania zaś z naganką rozpoczynają się dopiero w połowie października.

Wtedy pola są już zupełnie sprzątnięte, a zajęczyce również szybko zmykają, jak zające; dzieje się tak jednak tylko podczas chłodnej, ładnej pogody, w czasie deszczu bowiem, albo miękkiego śniegu, zajęczyce również dotrzymują o wiele dłużej, niż zające.

Najpierw odbywa się polowanie z naganką w kotle na polu, albo z wyżłem. Do polowań w lesie trzeba lekkiego śniegu, ponieważ można wtedy farbujące koty łatwo odszukać z psem, nie zostawiając ich na pastwę lisom. Naganka w kotle na polu wymaga bardzo energicznego i ostrożnego kierownictwa; muszą przytem być dwaj strzelcy niezmordowani, którzy znają gruntownie rewir i działają każdy w przeciwnym kierunku. W przeddzień polowania właściciel rewiru powinien udać się z tymi dwoma strzelcami do rewiru i rozmówić się co do planu topograficznego ju trzejszej obławy.

Zrana sprawdza się, czy wszystko oczekuje w porządku na wyruszenie z domu w pole, udzielając ostateczne instrukcye i wyznaczając kary za najmniejsze uchybienie przeciw regulaminowi. Na polowaniu z naganką obowiązuje przepis, że na plac, wyznaczony na śniadanie, nie wolno nikomu wkraczać z nabitą bronią. Również, ze względów bezpieczeństwa, wszyscy muszą wyjąć ładunki, gdy siadają na wóz, powóz i t. p., albo przeskakują rów lub płotek.

Ażeby ustanowić króla polowania, oblicza się po każdej naganco rozkład strzelców. Niekiedy praktykuje się, że obok króla polowania mianuje się „królem zajęczym" tego, który ma najmniejszy rozkład i najwięcej pudeł.

Najbardziej zajmujący sposób polowania na zające stanowi polowanie w lesie ze stanowiska, gdyż wtedy można czasami upolować i inną zwierzynę przygodnie: lisa, cietrzewia lub słonkę. Podczas polowania z naganką w lesie, dobry hodowca, mający spory stan sarn, przeznacza kilka z nich na odstrzelenie celem uregulowania stosunku liczebnego różnej płci. Co prawda jednak, lepiej jest odstrzelić na podchodzeniu w pojedynkę, ponieważ wtedy łatwiej dokonać można odpowiedniego wyboru.

* * *

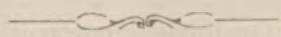
O otwarciu polowań we Francyi pisze „Matin": „Ach, jak panowie myśliwi ostatniej soboty wieczór (d. 1-go września) opuszczali licznie Paryż! Ślicznie wystrojeni, w towarzystwie psów, pełni dobrego humoru. Dworce kolejowe ledwie ich pomieścić mogły; broń i psy potrącały się wzajemnie; jest to widowisko, którego paryżanin nie zapomni prędko, przyzwyczajony do szarych widoków życia codziennego. Również zajmujący jest wieczór, w którym myśliwi wracają. A ponieważ słyszeliśmy, że prefektura w ostatnim roku wydała 7,000 świadectw myśliwskich, zamiast 6,000, w roku ubiegłym wydanych,—przeto udajemy się wieczorem na stacye kolejowe, żeby być świadkiem scen myśliwskich

Stacya Lyon. O godz. 6-ej wieczorem zastajemy około 2,000 osób, wśród dyabelnej wrzawy! W przeciągu jednej godziny trzeba wyprawić cztery pociągi więcej, niż zwykle. Na dworcu wschodnim w St. Lazare walczą tłumy ludzi o miejsce w wagonie, a psy ujadają przy tej sposobności. Służba kolejowa straciła głowę. Na dworcu północnym odjechało dzisiaj 2,000 podróżnych więcej, niż zwykle. Wszyscy pojechali zadowoleni, a dlaczego? Ponieważ polowanie na bażanty pierwszy raz tak wcześnie się otwiera, a podczas gdy dawniej było ono przystępne jedynie dla uprzywilejowanych, to teraz może nawet najskromniejszy myśliwy polować na te piękne ptaki.

W halach targowych. Pierwsza zwierzyna przybywa; pochodzi z Austryi, od wrogów! Biedny, „piękny" kocie francuzki o gibkiej postaci i cienkim pyszczku, wyprzedza ciebie prosty, gruby Węgier, podobny do majora brzuchatego i wyglądający, jakby nie żywił się orosiałym tymiankiem, lecz spijał piwo w knajpie! Pierwszy to raz zjawił się u nas ten obcy przybysz, a zjawiać się będzie coraz częściej, ponieważ przychodzi w bardzo dobrym stanie, świeży, w wagonach-chłodniach. Obca konkurencya nas zabija. A jednak! Pocieszmy się. Otwarcie się udało. Płacą za prawdziwie francuskie kuropatwy 4 do 4,25 franka, za obce 3 do 3,50 fr., za prawdziwie francuskie zające 11 do 12 fr, za obce 8 do 9 fr. Mało bażantów, bardzo mało przepiórek, tuzin sarn. Departamentem, który nam dostarcza najwięcej zwierzyny, jest Loir et Cher; w ostatnim roku dał 210,000 kg.

Podczas sezonu myśliwskiego 1904/5 Paryż skonsumował: 710,000 skowronków, 21,000 słonek i bekasów, 170,000 przepiórek, 150,000 bażantów, 190,000 kwiczołów, 175,000 zajęcy, 500,000 kuropatw i 700 dzików.

O.



Sprawa myśliwska w parlamencie.

Pisma łowieckie donoszą, że w Bawaryi na posiedzeniu t. zw. Izby pierwszej, składającej się z książąt krwi, najwyższych urzędników koronnych i t. d.,

w lipcu r. b. baron v. Wuerzburg zabrał przy sposobności głos w sprawie myśliwskiej:

„Pozwolę sobie rzec tutaj parę słów o stosunkach myśliwskich. W ostatnich czasach często była mowa o szkodach, wyrządzonych przez zwierzynę. Należy więc raz także odezwać się odwrotnie „o szkodach, które się wyrządza zwierzynie“. Trzeba przedewszystkiem protestować przeciw temu, że władze za daleko się posuwają, udzielając zbyt często pozwoleń na odstrzelenie zwierzyny w czasie ochronnym, oraz zwierzyny, której wogóle nie wolno strzelać; dzieje się tak szczególnie na polowaniach, urządzanych przez różnych przedstawicieli władzy. Zasługuje zwłaszcza na potępienie z punktu widzenia myśliwskiego, zdarzające się także zabijanie zwierzyny brzemiennej.

Jelenie i bez tego są już wytępione w wielu okolicach Bawaryi, czego żałować chyba także należy z wielu względów ogólno-krajowych. W bawarskim Odenwalde, gdzie dawniej było dużo jeleni, teraz niema ich wcale w wolnej kniei. Myśliwi z Bawaryi płacą 7,000 marek dzierżawy rocznej za polowanie na jelenie w sąsiednim rewirze, należącym do wielkiego księstwa Badeńskiego. Również stwierdzono w wielu okolicach Bawaryi zmniejszenie się liczby sarn w sposób zatrważający, mimo istnienia prawa ochronnego.

Ma się nawet na wytępienie głuszców. Można w każdym razie przytoczyć fakty, niejednokrotnie stwierdzone, że udzielono pozwolenia na strzelanie do głuszyc. W pewnej miejscowości uzyskano pozwolenie na ubicie sześciu głuszyc, mimo że w tym rewirze grały zawsze tylko dwa głuszce. Fakt to w wysokim stopniu godny pożałowania i naruszający prawo myśliwskie; jest to barbarzyństwo, żeby pozwolić na wytępienie w taki sposób tej pięknej i interesującej zwierzyny.

Uznaniu różnych władz zostawia się dowolne udzielanie pozwoleń na odstrzelenie zwierzyny, podlegającej ochronie, aczkolwiek władze te zupełnie się nie znają na potrzebach myślistwa; to też władza zadawala się powierzchownym rzutem oka na stosunki, panujące w danym rewirze, a potem rządzą się według własnego widzimisię.

Dochodzą dalej skargi, że w niektórych okolicach już zupełnie bez pozwolenia, strzela się do sarnkóz jawnie na polowaniach z naganką, nie krępując się żadnem prawem, a władza nie występuje wcale z protestem, nie zajmuje się wogóle tą sprawą.

W końcu przypomnieć należy skargi, odzywające się w parlamencie, że władze zbyt hojnie szafują wydawaniem świadectw myśliwskich, udzielając ich różnym kłusownikom i t. d.

K.

DZIEŁO SCHILLINGSA

o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

VI. Do Killmandżaro z ks. Loewensteinem.

W pierwszych dniach lutego przybyliśmy do Tangi. Ks. Jan Loewenstein i ja wzięliśmy z sobą 7 mułów, które miały służyć jako juczne, oraz wierzchowca. W drodze uległy one chorobie parchu, zaraziwszy się od psa; sierć im wyszła, ale myte codziennie przez kilka tygodni, wyzdrowiały.

Karawana nasza liczyła 170 tragarzy, Askari. Koleją pojechaliśmy do Korrogwe, potem przez Mombo, gdzie są słynne plantacye bawełny, udaliśmy się do Masinde, a stąd do Kilimandżaro. Wskutek częstych deszczów roślinność była nader bujna, a motyli i owadów pełno na każdym kroku. Z tegoż powodu malarya grasowała strasznie śród europejczyków.

Zwierzyna za to miała wszędzie dobre żerowisko i wodę w obfitości. Ks. Loewenstein ubił kilka antylop (*Gazella granti, Brooke*). Usiłowaliśmy ubić jaknajwięcej bocianów (*Ciconia ciconia L.*), które wybierały się do Europy w stadach, liczących tysiące sztuk. Kolonie dziergaczów (*Ploceidae*) miały wtenczas mnóstwo gniazd wiszących na drzewach, a w gniazdach pełno było jaj i piskląt, karmionych przez matki szarańczą.

Była to także pora lęgnienia się dziergacza, odkrytego przezemnie w r. 1899 (*Ploceus schillingsi, Rchw.*). Książę zebrał kolekcyę tych ptaków, których samczyki mają połysk złoto-żółty. Ubiłem strusia olbrzymiego, który miał jaje mimo pory nieodpowiedniej. Po ubiciu przez księcia dużego nosorożca, natrafiliśmy na stado bawołów (*Buffalus suahelicus, Mtsch.*), złożone z 60 sztuk, które żerowały w towarzystwie kozłów wodnych (*Cobus aff. ellipsiprymnus, Ogilb.*) i gazelli Granta (*Gazella granti, Brooke.*). Z tego stada ubił książę i ja byka, oraz krowę. Udało się nam doskonale spreparować skóry tych bawołów. Krowa była wysoko cielna. Spreparowaliśmy także skórę tego cielęcia jeszcze nieurodzonego, która miała barwę ciemno-brunatno-kawową.

Długość skóry wyprawnej byka, od końca ogona do pyska, wynosiła 4 metry; największa szerokość koło brzucha — 3,60 m.; waga czaszki 25 kilo; waga czaszki krowy — 15 kilo. Na skórach było mnóstwo kleszczy z gatunku *Rhiphicephalus appendiculatus, Nn.*

W dwa dni później udało się księciu ubić bardzo dużą żyrafę, samca. Preparowanie się za to nie udało. Długość linii od końca pyska do najdłuższego odrostka na czole (odrostków miał 5), wynosiła 88 ctm.; długość tego odrostka — 22 ctm; obwód głowy koło oczu — 1 m. 6 ctm., obwód rogu u nasady — 25 ctm., u góry — 22 ctm. Waga głowy razem z 30 cm., szyi — 40 kilo.

Następnych dni urządziliśmy wycieczki do stepu, przyczem ubiłem perliczki i starego znajomego z Europy, derkacza (*Crex crex L.*); wyśledziłem także znaczną ilość tropów żyraf. Na wysepkach rzeki gnieździły się czaple krowie (*Bubulcus ibis L.*) i kilka innych gatunków czapli, których jaja zebrałem do kolekcyi. Tutaj również były duże kolonie „moich dziergaczów“ (*Ploceus schillingsi Rchw.*). Do ich gniazd składała jaja kukułka złota (*Chrysococcyx cupreus, Bodd.*).

Za pomocą teleaparatu udało mi się dokonać kilku zdjęć antylopy oryxa (*Oryx callotis, Thos*).

Podczas wycieczki z księciem usłyszeliśmy zdaleka salwy, pochodzące, jak się potem okazało, od uczestników jakiejś innej karawany, przechodzącej niedaleko.

Po deszczach zaczęły się upały; trawa wysychała i przepaliła się. Ukazała się szarańcza w niezliczonej chmarze z gatunków *Schistocerca* i *Pachytylus*, któremi raczyły się obficie marabuty (*Leptoptilos crumeniter, Less.*); w ich towarzystwie spotykało się nieraz zwyczajne bociany. Karawanie naszej towarzyszyły setki sokolików, żywiąc się szarańczą. W tem łowieniu jej wyróżniły się szczególną zwinnością wspaniałe sokoły rdzawonogie i zgrabne sokoły czerwonawe (*Cerchneis vespertinus* i *Cerchneis neumanni*).

Razu pewnego, siedząc na mułach, ujrzeliśmy trzy lwy, które zniknęły w gąszczu kolczastym. Strzał był niemożliwy. Rozbiliśmy jednak tu obóz, w nadziei wyśledzenia lwów; niestety, bezskutecznie. Udało nam się tylko zbadać wspaniały świat ptasi, przebywający tu nad rzeką. Krótko przed wschodem słońca latał kulon przylądkowy (*Oedicnemus capensis, Lcht.*), wydając charakterystyczny świst, który brzmi jak: *wieh wieh wieh i i i i i ih ih ih*, coraz prędzej i ostrzej powtarzane. Zręcznie unika sąsiedztwa niebezpiecznego krokodyla, ścieląc sobie gniazdo nad rzeką. Na ławach piaszczystych zapadają gęsi nilowe (*Chenalopex aegyptiacus, Lin.*). Rybitwy korzystają ze zmroku, by łowić ryby z wody. O tejże porze zjawiają się rzadkie okazy kleszczaków błaszkopiórych (*Anastomus la-*

melligerus, Tem.). Ibisy i czaple zapadają na wysepkach. Po zachodzie słońca kozodój (*Caprimulgus fossei, Verr.*) zaczyna swą pieśń monotonną. Chwilami przelatuje orzeł-bielik (*Haliaetos vocifer Daud.*).

Ludzie moi złowili 300 kilo ryb, oraz dwa małe krokodyle; w jednym z nich, długości metra, znaleźliśmy całą gęś nilową, jeszcze nie strawioną.

Będąc raz w łodzi na rzece, zostałem otoczony przez krokodyle, które chciały się rzucić na mnie. Dotarłem łódką do wysepki, gdzie zacząłem wzywać pomocy. Ludzie moi strzelali w wodę, żeby odstraszyć krokodyle. Dzięki odwadze i przytomności księcia, który osobiście kierował akcyą ratunkową i sam rzucił się do wody, żeby mnie ocalić, mimo czyhających krokodylów, — udało mi się powrócić zdrów i cały na wybrzeże.

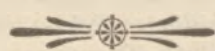
Trójka lwów, na którą czatowaliśmy, rozdarła strusia, samicę, lecz nie zdążywszy jej spożyć, oddalily się, by już nie powrócić.

W końcu marca nastała znowu pora deszczowa, zwana „Massika mkubwa". Zniósłszy kilka burz strasznych, dotarliśmy z ogromnym trudem do Kahe, oazy śród stepu, nieopodal Kilimandżaro. Z powodu bezustannych deszczów musieliśmy długo siedzieć w Moszi. Książę zmuszony był powrócić do Europy, a ja sam dalej podróżowałem.

W Moszi odkryłem melanistyczny okaz kota janowcowego (*Genetta suahelica, Mtsch.*) W Kilimandżaro zjawiają się czarne egzemplarze rysia serwalowego. Lwów *zupełnie* czarnych nie spotyka się, są jednak lwy o całkowicie czarnej grzywie. W Abisynii zjawiają się czasami czarne lamparty.

W Moszi zastałem złowioną żywcem zebrę młodą i dwie młode antylopy krowie (*Bubalis Cokei, Gthr.*), oraz trzy małpy jedwabiste (*Colobus caudatus, Thos.*). Po kilku dniach usłyszałem, że niedaleko widziano dwa słonie duże. Na słonie te polował naczelnik stacyi kolejowej. Po paru dniach wybrałem się do Marangu i Rombo, a stąd do wschodnich bagnisk Ndjiri, zwanych przez Masai „Ngare O'ssiram", ponieważ dawniej było tam dużo małych kudu (*Strepsiceros imberbis*), zwanych „O'ssiram".

J. Kamieniusz.



Z Indyj i Cejlonu.[1])

Opuściliśmy Agrę i północne Indye i statkiem z Kalkuty popłynęliśmy do Colombo. Bracia S., dostawszy polecenia do dwóch misyonarzy Jezuitów w Rengarki, wybrali się tam na 8 dni na polowania na grubego zwierza, ja zaś z żoną zwiedzamy Cejlon, tę cudną wyspę, istny raj na ziemi!

Zwiedziliśmy Colombo, Kandy, a następnie automobilem puściliśmy się w głąb wyspy, do Sigiri i Anuradhapura. Cudowna droga. Pyszna szosa prowadzi najpierw przez wysokie góry, głębokie doliny i lasy palm kokosowych i najrozmaitszych, tropikalnych drzew. Wszystkie spiżarniane przyprawy znaleźć można w tych lasach: kawa, herbata, kakao, pieprz, goździki, muszkatel, wanilia, etc., rosną tu dziko na krzakach i drzewach, lub uprawiane starannie w plantacyach.

Zjeżdżamy z wyżyn. Szosa ciągnie się milami, przez dzikie całkiem dżungle, jest to las drzew liściastych nietknięty siekierą, a tak splątany lianami, powojami i rozmaitemi roślinami pnącemi, że zdaje się tworzyć po obu bokach szosy jednolite, masywne ściany zieleni!

Przytem myśl, że w tej zieleni przebywają stada słoni dzikich, samburów, bawołów, lampartów etc., podnieca fantazyę myśliwego.

Kraj niegdyś tu był bardzo cywilizowany, już w V-ym wieku przed Chrystusem, były tu miasta i zamki, ogromne, sztuczne stawy i kanały irrygacyjne. Dziś ruiny pałaców, miast i świątyń, dżungla pokryła, dzikie zwierzęta i węże zapanowały nad lasem.

Anuradhapura, jedno z tych miast, pochłoniętych przed wiekami przez dżunglę, leży w mokrej bardzo, niezdrowej okolicy, otoczone lasem i jeziorami, t. zw. tankami. Tanki są to owe stawy przed wiekami przez królów dla irrygacyi pozakładane, rozmaitej wielkości, od kilkunastu do kilku tysięcy hektarów. W zajezdnym domu w Anuradhapurze, zapewniają mnie, że w tankach tych masa aligatorów, a na wodzie i brzegach chmary ptactwa wodnego i błotnego; znowu chętka bierze do polowania, informuję się zatem, skądby wydostać strzelbę. Powiadają mi, że mieszka tu w osadzie niejaki Mister Chase, urzędnik angielski, który jest wielkim myśliwym, posiada kilka strzelb, i z pewnością mi jednej pożyczy. Idę zatem do tego gentlemana, a ten, z iście angielską uczynnością (chociaż sam Syngalez, katolik), obiecuje dać strzelbę i naboje, ilo razy zechcę; pod warunkiem, że mu co wieczora strzelbę do czyszczenia odeślę.

Dowiedziawszy się odemnie, że w pierwszej linii chcę na aligatory zapolować, ofiaruje mi strzelbę, z której wszystko strzelać można, bo równie dobrze śrótem, jak i kulą strzela. Była to strzelba „Paradox", o której, zdaje mi się, „Łowiec" raz już pisał. Kaliber 12, z pięciu prostemi, szerokiemi gwintami. Długość luf normalna, wygląd zwykłej dwunastki, z tą różnicą, że szyna między lufami idzie, podnosząc się do mniej więcej połowy długości luf. Na tej szynie znajdują się dwa wizery do podnoszenia, na 50 i 100 yardów (po 90 ctm.). Muszka też na podniesieniu podłużna, jak przy naszych drylingach, kule w nabojach stożkowatą z expanzą, dobre nawet na słonia. Dziękuję mu za uczynność i nazajutrz bulockkartem (wóz bardzo duży na dwóch kołach, zaprzęgnięty w parę wołów) o świcie z shikarisem, wybieram się na polowanie.

Tank, do którego jedziemy, znajduje się o pięć mil angielskich.

Po dwóch godzinach dojeżdżamy do jeziora. Czas pochmurny, nie upalny, niekorzystny do polowania na aligatory, żadnego też nie widziałem, bo te zwierzęta tylko w słońcu lubią spać na brzegach! Za to wnet wystrzelałem kilkanaście śrótowych naboi, które ze strzelbą dostałem, i zabiłem pięć kaczek, pomarańczowo upierzonych, i dwa kszyki. Ptactwa masa, setki naboi wystrzelaćby można.

Wracając, zaglądamy na drugie, mniejsze jezioro; shikari powiada, że aligatora tam zobaczymy, bo słońce się pokazało i porządnie przypieka.

Rzeczywiście, idąc przez groblę, nachodzimy na dwa aligatory przy brzegu, strzelam do obu z tym efektem, że jednego chybiam, a drugiego przestrzeliłem na wylot przez brzuch.

Aligator, chociaż ranny, zniknął w wodzie: shikari twierdzi, że go po 24 godzinach będzie można dostać, gdy go woda wyniesie na wierzch. Po obiedzie znów wybraliśmy się do innego jeziora. Niestety dostałem tylko 11 naboi śrótowych i parę kul. Jezioro bardzo wielkie, woda zatrzymana ogromną, przedhistoryczną groblą na 4 do 5 kilometrów długą, a 6 do 7 metrów wysoką. Zdaleka widoczny długi półwysep, a na nim przez szkło widać na piasku szereg aligatorów z otwartemi paszczami. Schodzę z grobli i idę brzegiem jeziora.

(*Dok. nast.*).

[1]) W Nr. 18-ym „Łowca" lwowskiego znajdujemy ciekawy opis łowów w Indyach i na Cejlonie przez redaktora naszego, p. O. P. Ponieważ relacyę, zawartą w pierwszej części, już opublikowaliśmy na podstawie listu jednego z uczestników tych polowań, więc ograniczamy się na wydrukowaniu drugiej części.

Redakcya.

Z Kijowa.

Kijowski Oddział Cesarskiego Towarzystwa racyonalnego polowania miał w zeszłym roku obchodzić uroczyście dziesięciolecie swego istnienia w Kijowie. Wskutek jednak ogólnego rozstroju, wywołanego niedawno ukończoną wojną japońską, jak również rozruchami rewolucyjnemi w mieście i na wsi, — uroczystość nie doszła do skutku. Nikt wtenczas nie był usposobiony do tego rodzaju obchodów, zwłaszcza że znaczna część członków Towarzystwa nie zdążyła jeszcze powrócić do domu z wojny. Postanowiono obchodzić jubileusz w roku bieżącym z jaknajwiększą uroczystością.

W Kijowie myśliwi odczuwają dotkliwie brak wartościowych psów, prawdziwie rasowych i dobrze ułożonych do polowania wszechstronnego. Podobno Niemcy zwrócili już na ten fakt uwagę i wysłali agentów w celu sprzedaży psów tego rodzaju obywatelom okolicznym i myśliwym miejskim.

Wystawa psów nie odbędzie się tego roku w Kijowie. Odbyły się jednak próby wyżłów „na polach, bagniskach i łąkach". Próby trwały trzy dni, od 26-go do 28 sierpnia, a miały przebieg bardzo uroczysty. Komitet sędziów składał się z przewodniczącego, zastępcy, sześciu członków sądu i trzech zastępców. Nagrody rozdano następujące: 1) nagrodę jubileuszową oddziału kijowskiego, 2) nagrody pieniężne, 3) medale złote i srebrne, 4) żetony duże i małe, złote i srebrne, 5) listy pochwalne, 6) nagrody dla panów układających, 7) nagrody, nadesłane przez zaprzyjaźnione towarzystwa myśliwskie, 8) nagrody, wyznaczone przez osoby prywatne, 9) listy pochwalne, przedmioty wartościowe, nagrody pieniężne, udzielone przez oddział kijowski i osoby prywatne dla treserów-specyalistów. Wpisanie psa kosztowało 10 rb.

W pobliżu pola, gdzie się odbywały próby, urządzono strzelnicę, w której miało miejsce strzelanie konkursowe do gołębi. I tutaj rozdawano mnóstwo nagród pieniężnych i przedmiotów wartościowych. Resztę placu zarezerwowano dla gości, którzy napłynęli w znacznej liczbie i którzy mogli tam jednocześnie polować na różne ptactwo po uzyskaniu odpowiedniego pozwolenia.

Dla wygody gości i członków oddziału postarano się o rozmaite udogodnienia. Przez cały czas funkcyonował *table d'hote*, były do rozporządzenia wygodne noclegi, dobra komunikacya z miastem, i wreszcie doskonałe pomieszczenie dla psów, z góry zapisanych.

J.

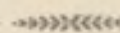
Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 3 października. Posiedzenia Rady nadal odbywać się będą co tydzień we środy.

P. Kuszkowski z Włocławka, pragnąc założyć kółko myśliwskie, złożone z miejscowych myśliwych, zwrócił się z prośbą o informacye do Rady. Postanowiono posłać panu K. ustawę naszego Oddziału.

Towarzystwo Główne w Moskwie zażądało przysłania wiadomości o naszej ostatniej Wystawie psów, która potrzebna mu zapewne dla uzupełnienia sprawozdania rocznego. Odnośne dane będą bezzwłocznie wysłane.

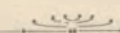
Posiedzenie Wydziału Ochrony i polowań, 8 października. Wydział przystąpił do opracowania planu tegorocznych, zimowych polowań dla Członków. Polowania odbędą się na terenach Osieckich i Miedzeńskich. Chcąc ustalić liczbę Członków, jaka się zgłosi na polowania zimowe, otwarto zapisy w d. 15 października i przyjmowane one będą przez Kancelaryę oddziału do dnia 3 listopada włącznie. W dniu 5 listopada odbędzie się losowanie kandydatów. Składka oznaczona została na 8 rb. 50 kop. W polowaniach mogą brać udział Członkowie, mający opłaconą składkę bieżącą.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

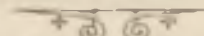
W d. 13 b. m. polowano w 7 strzelb w dobrach Wilanowskich na folwarku Paluch, na kuropatwy z naganką, przyczem strzelano do zajęcy. Padło 92 kuropatw i 83 zajęcy.



Wykazy Myśliwskie.

Podług sprawozdań urzędowych ubito w r. 1903 w lasach pruskich: 2,245 jeleni-byków, 4,394 łań, czyli razem 6,639 sztuk; 1,260 danieli, 1,751 danielic, razem 3,011 sztuk; 2,518 dzików, 9,240 sarn kozłów, 4,694 kóz, razem 13,940 sarn. W r. 1891/2 ubito 4,213 jeleni, 2,208 danieli, 2,636 dzików i 9,159 sarn. Widać stąd, że przez to dziesięciolecie zwierzostan został znacznie powiększony, z wyjątkiem dzików, których liczba się zmniejszyła.

W roku myśliwskim 1905/6 ubito w rewirach księcia Chr. E. Stolberg-Wernigerode: 319 sztuk jeleni, 34 danieli, 116 dzików, 243 sarn,3,301 zajęcy, 77 cietrzewi, 122 bażanty, 2,003 kuropatw i przepiórek, 298 kaczek, 53 słonek, 23 bekasów; drapieżników ubito 3,973 sztuk, z czego 121 lisów, 183 ptaków drapieżnych, 11 czapli, 9 borsuków, 1,853 wiewiórek, 49 ptaków wodnych, oraz 1,175 królików. Razem ubito 11,743 sztuki; w roku poprzednim ubito 13,759 sztuk.



Drobiazgi myśliwskie.

Pozwolenie na broń. Wobec tego, że wojenni generał-gubernatorowie w niektórych wypadkach kwestyonują wydane przez gubernatorów i policmajstrów, pozwolenia na prawo posiadania broni, jeden z gubernatorów zwrócił się do władzy wyższej z przedstawieniem, aby dla usunięcia wynikających stąd nieporozumień, pozwolenia na broń wydawali wyłącznie tylko generał-gubernatorowie wojenni w całem Królestwie Polskiem.

Kłusownik mordercą. Rządca folwarków majątku Cesarskiego, Zagórze, w Częstochowskiem, przyłapał w lesie na gorącym uczynku kłusownika i chciał go zatrzymać. Wtedy kłusownik wypalił z fuzyi, kładąc rządcę trupem. Zabity, Kazimierz Śmieciński, miał lat 35, był żonaty, bezdzietny. Wezwany ze Mstowa oddział dragonów przeszukał las i zabójcę odnalazł.

Bandy kłusowników. W dobrach Wołożyn, w pow. oszmiańskim, których przestrzeń wynosi około 27,000

dziesięcin, w tem 15,000 dziesięcin obszaru leśnego, właściciel, Michał hr. Tyszkiewicz, dla obrony służby leśnej od napadów grasujących band kłusowników, zmuszony był uzyskać pozwolenie na zakupno karabinków i uzbrojenie niemi gajowych.

Z powodu rozszerzenia zwierzyńca. W majątku Piszczowskim hr. Józefa Potockiego od niedawna jest założony zwierzyniec na dużą skalę. Obecnie chciano go powiększyć, przyłączając obok znajdujący się obszar zarośli leśnych. Gdy zjawili się robotnicy do ogrodzenia wyżej pomienionego kawałka, wystąpiła szlachta z sąsiedniej osady wśród lasu Kamionki, i kijami poczęła wypędzać pracujących, łając przytem straszliwie zarząd cały, a głównie stojącego na czele jego nadleśnego, i czyn swój motywując tem, że obszar ten, jako jedyny rozpas, należał do nich od lat wielu. Zawezwani zostali natychmiast kozacy. Rozpoczęła się gorąca bójka, w której szlachta ucierpiała i ustąpić musiała, lecz niezrażona, przysłała nazajutrz swych przedstawicieli do nadleśnego z pogróżkami. Roboty przy ogrodzeniu zostały wykonane i zarośla do zwierzyńca przyłączone.

Przewóz psów. Przewóz psów w pociągach osobowych kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, jak to zauważono, odbywa się bez ścisłego stosowania istniejących przepisów, a mianowicie: właściciele psów nie zawsze otrzymują do ręki kwity bagażowe, same zaś psy, znajdujące się w psich pomieszczeniach wagonów bagażowych, bardzo często, o ile się sam interesant nie zgłosi, nie są przeładowywane na stacyach węzłowych kolei Warszawsko-Wiedeńskiej do następnych, właściwych pociągów, lub też są przewożone dalej. Celem usunięcia tego rodzaju nieprawidłowości, powodujących zażalenia właścicieli i wysyłanie licznych depesz, naczelnik ruchu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej poleca, ażeby przy przyjęciu psów do przewozu, ekspedycye bagażowe, stosownie do przepisów, zawsze wydawały kwity bagażowe właścicielom psów i ażeby wyładunek psów odbywał się na stacyach przeznaczenia, jak również i na stacyach węzłowych przez służbę stacyjną, o ile nie zgłosi się sam właściciel do obebrania, lub przeprowadzenia psa z jednego pociągu do drugiego. Na konduktorów bagażowych włożono obowiązek, ażeby pod osobistą odpowiedzialnością pilnowali wyładunku psów na stacyach przeznaczenia, lub przeładunków ich na stacyach węzłowych.

Fatalny wypadek. Z Krakowa donoszą o tragicznym wypadku, którego ofiarą padł dr. Zduń, właściciel majątku Raba Wyżnia, w pow. nowotarskim, i marszałek nowotarskiej rady powiatowej. Nieboszczyk był znanym myśliwym. Niedawno wrócił z dłuższej wycieczki myśliwskiej do Skandynawii i zajął się sprawami gospodarskiemi w swoim, wzorowo urządzonym majątku. D. 8-go b. m., w chwili, gdy przygotowywał wypłaty tygodniowe dla robotników, doniesiono mu, że w pobliżu na stawie zapadło stado kaczek. Dr. Zduń pośpieszył natychmiast ze strzelbą, wziąwszy z sobą wyżła, i zapowiedział, że wróci niezadługo. We dworze zbierali się tymczasem robotnicy, oczekujący wypłaty. Po niejakim czasie, gdy pan Zduń, mimo zapowiedzi nie powracał, kilka osób z domu wyszło na jego spotkanie. Wkrótce zobaczono psa, który kręcił się niespokojnie po polu; udawszy się za nim, ujrzano d-ra Zdunia, leżącego na ziemi. Okazało się, że ratunek już był spóźniony. Nieboszczyk miał twarz pokaleczoną śrócinami, które uderzyły od dołu i wywołały zgon, jak się zdaje, natychmiastowy. Kierunek strzału i ślady na twarzy wskazują, że dr. Zduń, obchodząc zwierzynę, musiał zaczepić cynglem strzelby o krzaki, może też pośliznął się i upadł, strzelba wypaliła i cały nabój śrótu uderzył go w twarz.

Damy na łowach. Córka prezydenta Roosevelta, słynna „księżniczka“ Alicya, poślubiona niedawno p. Longworth, w towarzystwie kilku dam amerykańskich wyruszyła na niedźwiedzie do północnej Minnesoty. W łowach wezmą też udział i panowie.

Białe lisy. Pisma donoszą, że w ostatnich czasach we Francyi i Włoszech zdarzały się częste wypadki ubicia białych i centkowanych lisów: wykopano nawet całe gniazdo młodych lisiąt, które miały liczne centki białe.

Okapi. Major Powell Cotton przedsięwziął podróż naukową, trwającą ośmnaście miesięcy, od Nilu do Zambezi, ażeby zbadać egzystencyę nieznanej dotychczas bliżej, zwierzyny Okapi. Podług nadchodzących wiadomości, udało się majorowi w maju r. b. w Nakalu nad górną Ituri w obwodzie Robber, będącym głównem schroniskiem tej zwierzyny, — ubić samca okapi. Skóra i szkielet rzadkiego zwierzęcia zostały starannie spreparowane, by je przywieźć do Europy. Major spodziewa się także upolować towarzyszkę ubitego samca.

Z Norwegii. Z rewiru Mok w pobliżu Stenkjaer w Norwegii dochodzi wiadomość, że grozi tam w bliskiej przyszłości klęska rozmnażania się lemingów, które grożą także rewirom łowieckim, remizom, zwierzyńcom i t. d. Leming (*Lemmus, Myodes*), rodzaj ssących szczurowatych, z rodziny ślepcowych. Ma konchy uchowe krótkie, w odzieży ukryte, pysk tępy, zębów 16, ogon bardzo krótki, nogi także bardzo krótkie z pazurami do kopania usposobionemi, podeszwy gęstą siercią pokryte. Największe gatunki wyrównywają szczurowi pospolitemu. Rodzaj ten obejmuje kilka gatunków, mieszkających na północy obu lądów, i słynie z wędrówek, odbywanych gromadnie co lat kilka ku południowi, zwłaszcza gatunek *L. norvegicus*. W podróżach tych, których góry, rzeki, ani nawet odnogi morskie wstrzymać nie zdołają, prawie wszystkie giną i do stron rodzinnych nie wracają. Wyniszczają całą okolicę, którą przebywają, i prowadzą za sobą tłumy zwierząt i ptaków drapieżnych, na nie polujących. Przyczyny tych wędrówek są nieznane. Nowy król Norwegii, Haakon, wydzierżawił rewiry łosiowe w Slemdalu od Hjalmara Juella, ubił na pierwszem polowaniu dwa łosie kapitalne.

Pomnik dla psów. Na jednem z przedmieść Londynu stanęła w tych dniach artystyczna, granitowa studnia miejska z bronzowym posągiem wyżła. Ten pomnik został wzniesiony przez Towarzystwo anti-wiwisekcyjne. Na cokule wyryto napis: „Dla upamiętnienia tortur wyżła, który w lipcu 1903-go roku zginął w laboratoryach uniwersytetu londyńskiego po dwumiesięcznych męczarniach wiwisekcyi, przechodząc z rąk jednego kata do rąk drugiego. A także dla upamiętania 232 innych psów, które w r. 1902-im padły ofiarą barbarzyńskiej wiwisekcyi. Mężczyźni i kobiety angielskie, jakże długo jeszcze zezwolicie na takie barbarzyństwo?“.

Ogromne stado kaczek. D. 9 września wieczorem o godz. 7-ej widziano niedaleko Magdeburga ogromne stado dzikich kaczek, złożone z kilku tysięcy sztuk, które ciągnęły w kierunku z północy na południe.

Ceny zwierzyny. Paryski „Le Journal“ z d. 3-go września pisze: „Pierwszych 20 kuropatw upolowanych sprzedano po 82 franki, pierwsze 4 zające po 48 fr., pierwsze 4 bażanty po 30 fr., pierwsze 2 sarny po 60 fr. Belgijskie zające sprzedawano po 7 do 10,50 fr. Przepiórki z winnic francuskich sprzedawano po 1 do 1,25 fr“.

Oryginalny zakład. W Triebel założył się pewien myśliwy, że zje wszystkie kuropatwy, które jego kolega ubije od godziny 5-ej rano do 9-ej, w przeciągu tegoż dnia. Myśliwemu udało się ubić 13 kur, które kolega zjadł szybko po upieczeniu, jeszcze przed południem, popijając dobrem winem.

Szkoła puszkarska. Austrya ma także swój „Liége“. Jest nim miasteczko Ferlach, niedaleko Klagenfortu w okręgu Kaernten. Tam skupił się cały przemysł broniowy Austryi, który stosunkowo niemało produkuje, ale z Liége'm i Suhlem nie rywalizuje. Cesarsko-królewska szkoła fachowa dla przemysłu bro-

niowego w owym Ferlachu ukończyła obecnie 28-y rok szkolny. Do zakładu uczęszczało 159 uczniów, z których 50 kształciło się w różnych oddziałach szkoły fachowej, czyli dziennej (dla puszkarzy, wyrabiających osady, i grawerów), 109 zaś—w szkole uzupełniającej. Sprawozdanie informuje, że w przyszłym roku nastąpi rozszerzenie budynku szkolnego, jak i pomnożenie liczby maszyn, z uwzględnieniem przedewszystkiem drobnego przemysłu puszkarskiego.

Porady weterynaryjne. W lecznicy dla zwierząt I. Koziołkiewicza, Śliska 47, w ciągu miesiąca września udzielono pomocy weterynaryjnej 47 koniom, 249 psom, 19 kotom, 18 ptakom, 1 owcy, 1 królikowi i 2 świniom.

Słoń, lis, koń i reklama. Pewien dziennik holenderski podał następującą przypowieść: „Był sobie razu pewnego koń, który, biegając po lesie, wpadł do głębokiego dołu i mimo wszelkich usiłowań wydobyć się z niego nie zdołał. Będąc na wpół żywym z głodu i wycieńczenia, dojrzał wreszcie lisa i prosił go o pomoc. — Jestem za mały, — odrzekł lis — ale dam ci dobrą radę. W pobliżu znajduje się słoń. Jego zawołaj, a wyciagnie cię natychmiast. Po oddaleniu się lisa, koń tak sobie pomyślał: — Jestem wycieńczony z braku pożywienia. Każdy wysiłek osłabi mnie jeszcze bardziej. Jeżeli wytężę głos dla przyzwania słonia, stracę resztę sił żywotnych. Nie, wolę raczej je oszczędzać. Obowiązkiem słonia przyjść mi tu na pomoc bez wołania. Tak myślał koń, a tymczasem zdechł z głodu. W kilka dni potem lis przechodził znowu obok dołu i zobaczył w nim martwego konia. — Jeżeli istotnie dusze zwierząt przechodzą do ludzi — rzekł sobie — to dusza tego konia przejdzie z pewnością w kupców, którzy nie mogą się zdecydować na ogłoszenia po dziennikach.

Niedzielny nemrod. — Wszystkiemu wierzę, ale żeby mogły być narody, żyjące wyłącznie z polowania..., to niemożliwe.

* * *

Zwolennik psów. — P. schodzi „na psy".
— Bardzo mi to to przykro.
— Czy go lubisz?
— Nie, ale—psy lubię.

* * *

Obawy Wojtka. — A czemu ty, Wojtek, dziś krów nie wypędzasz na pastwisko?
— Boję się, bo to przyjechało z miasta trzech panów na polowanie.

* * *

Pies i Szloma. — Nie bójcie się, Szlomo, psa; nie wiecie, że kiedy pies głośno szczeka, to nie ukąsi.
— Ja o tem wiem, ale czy wasz pies też o tem wie?

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Niedźwiedź.

60. Wygląda, jak niedźwiedź między kurczętami.
61. Żyje, jak niedźwiedź borowy.
62. Gdy na Matkę Boską Gromniczną jest mróz, to niedźwiedź budę rozwala, bo będzie wnet wiosna; gdy zaś ciepło, to niedźwiedź budę poprawia, bo będzie jeszcze długa zima.

Nietoperz.

1. Nietoperz w słońce nie patrzy.
2. Gdzie nietoperz padnie, tam panna za mąż pójdzie.
3. Nietoperz w pustą głowę nigdy się nie wkręci.
4. Boi się, jak nietoperz słońca.
5. Z pustej kleci (lichego budynku) nietoperz leci.
6. Lata, jak nietoperz.
7. Stroni, jak nietoperz od słońca promieni.

Obroża.

1. Wdzięczy się, jak suczka do obroży.

Odyniec.

1. Chodzi sam, jak on żubr—odyniec.
2. Samotny, jak odyniec. (*C. d. n.*).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi z nad Nidy. Żądanego sposobu nie znamy.

Panu Karczewskiemu z Gamonina. Że łasice duszą zające, to fakt powszechnie znany. Mały ten szkodnik nietylko zającom, lecz i sarnom nie daje spokoju i przy sposobności wpija im się w szyję, aby wyssać krew ze swej ofiary, która następnie zdycha.

Treść Nr. 20 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „**Łowca Polskiego**" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub 50 kop. (z odnoszeniem do domu).
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.
Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.
Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.
Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Ś-to Krzyska 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 21. *Warszawa, d. 1 Listopada 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).



Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej B. Ronczewski

WARSZAWA Królewska 17, Telefon № 1917.

poleca świeżo otrzymane **nowości:**



Amerykańskiej fabryki Winchester. **Automatyczne sztucery**

Myśliwskie 6-cio strzałowe

Automatyczne sztucery magazynowe myśliwskie, ***bezkurkowe, 6-strzałowe***, model 1905 r., amerykańskiej fabryki ***Winchester***, z bezpiecznikiem, z lufą łatwo odejmowaną, do ładunków ***bezdymnych kal. 32 albo 35 o kuli opancerzonej całkowicie lub ekspansywnej***, wagi około 8¼ funta. Sztucery te dokładnie wykonane, o trwałym, nieskomplikowanym systemie, odznaczają się przedewszystkiem centrownym strzałem i siłą penetracyą, a wobec znanej skuteczności kuli ekspansywnej na silną zwierzynę, doskonale nadają się do różnorodnych polowań. **Rb. 62.50**

Praktyczne znaczenie tych magazynek podnosi się jeszcze przez możność noszenia za sobą zapasowych, napełnionych ładunkami magazynów dla natychmiastowego zastąpienia magazynu wyczerpanego po pierwszych 6 strzałach.

Dla wypuszczenia wszystkich strzałów strzelcowi niepozostaje, jak tylko pociągać za cyngiel. Wszystkie inne operacye, jak: wyrzucenie wystrzelonej gilzy, odwiedzenie zamka i przeprowadzenie następnego ładunku z magazynu do kamery lufy, dokonywają się same, przez zużycie siły oddania.

Za dorobienie antabek do flintpasa i pas. . . . . Rub. 3.—
Setka ładunków do tych automatów kal. 32 albo 35 . . . . „ 13.50

Fabryki **LEBEAU-COURALLY** większy transport broni pojedynczych i parami różnych typów, świeżo nadszedł.

Pistolety i rewolwery różnych systemów, jako to: Browningi, Velodogi i systemu Smith & Wesson (łamane) oraz naboje do nich, już nadeszły i są na składzie.

Mam honor podać do wiadomości P. P. Myśliwych, że

REPREZENTACYĘ MOJĄ NA KRÓLESTWO POLSKIE, LITWĘ, WOŁYŃ, PODOLE i przyległe gubernie powierzyłem WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYSLIWSKIEJ (dawniej B. Ronczewski),

która posiada stale na składzie moje **sztucery dubeltowe** i **paradoxy**, jak również **trójlufki** o dwuch górnych lufach śrótowych i dolnej sztucerowej, lub dwóch górnych sztucerowych i dolnej śrótowej, albo też o wszystkich trzech lufach śrótowych lub sztucerowych.

Uprzejmie przeto proszę z łaskawemi zamówieniami dla mnie zwracać się wyłącznie do składu wspomnianej Spółki, a polecając i nadal P. P. Myśliwym moje bronie, których ciągłe udoskonalenie będzie zawsze przedmiotem moich osobistych starań, pozostaję

z uszanowaniem **Fr. WLH. HEYM** w Suhl.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W listopadzie wolno polować na: dziki, łosie (byki) jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne, a do 1 (14) listopada na klępy, łanie i kozy.

Łunacja w listopadzie.

Pełnia d. 1 o g. 6 m. 10.
Ostat. kw. d. 9 o g. 11 m. 9 r.

Wschód i Zachód Słońca

w listopadzie

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	57	4	30
2	6	59	4	28
3	7	1	4	26
4	7	3	4	24
5	7	5	4	22
6	7	6	4	20
7	7	8	4	19
8	7	10	4	17
9	7	12	4	15
10	7	14	4	14
11	7	16	4	12
12	7	17	4	10
13	7	19	4	9
14	7	21	4	7
15	7	23	4	6